



ANDRZEJ JULIUSZ SARWA
W STRONĘ HORYZONTU
OPOWIEŚCI NIĘZWYKŁE

ANDRZEJ JULIUSZ SARWA
W STRONĘ HORYZONTU

ANDRZEJ JULIUSZ SARWA

W STRONĘ HORYZONTU
OPOWIEŚCI NIEZWYKŁE

*Obym przed życia kresem dopiął życzeń kresu!
Pęd fali po kolana, pełen wody bukłak...*

Sadi z Szirazu, *Gulistan*

SANDOMIERZ 2017

Tekst: *Andrzej Sarwa*
Przygotowanie do wydania: *Tomasza Obara*
Projekt okładki: *Juliusz Susak*
Korekta: *Zespół*

Copyright © 2017 by Andrzej Juliusz Sarwa
& Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-232-4

DROGA NA PRZEDMIEŚCIU

*Zdawało się tylko widzieć zamieć uleciałych kształtów,
coraz to dalej porywanych kręcącym się wichrem,
jakby zamieć liści pstrych w jesieni...*

Cyprian Kamil Norwid: *Stygmat*

SZAROŚĆ I MGŁA

Za oknem krzyk gawronów wzbijających się niezbyt liczną gromadką ku jednolicie szaremu pułapowi chmur. Brudnożółte ściany sąsiedniego bloku napiętnowane prostokątami martwych okien zasłaniają mi horyzont.

Dławiący lęk, który wypełnia całe moje wnętrze zagłusza wszystko – i odgłos przejeżdżających samochodów i poszczekiwanie dalekiego psa, i każde inne uczucie, które chciałoby się zagnieździć w moim mózgu. Każde...

Usiłuję walczyć z nim, ale od samego początku wiem, że to nie ma sensu. Walka z góry skaza-

na jest na przegraną. Wszechobecny, wszechogarniający lęk... Nawet gdy śnię, wdziera się podstępnie do moich majaków i wyjada duszę. Kęs po kęsie. Każdej nocy.

A kiedy nadchodzi kolejny szary i mglisty poranek, przemieszcza się tylko we mnie, przepływając z czaszki do piersi. I nawet słońce nie może sobie z nim poradzić. Wielkie, żółte, rozjarzone słońce...

Tak naprawdę niemające wiele wspólnego z tamtym, które przed laty kładło się rozedrganymi cętkami na gęstej murawie, albo wpadało pozłocistą smugą przez niewielkie okno, a w owej smudze wirowały jak szalone drobiny kurzu, które wówczas wydawały się najcenniejszymi klejnotami. A może naprawdę nimi były? Może...

Lecz przecież to już inna opowieść i inne doznanie. Wspomnienie czasów, kiedy wszechogarniający lęk niekiedy ustępował placu. Chociaż nigdy nie na długo.

Za oknem kłębi się mgła. Przesłania regularność bryły sąsiedniego bloku. Zasnuwa otwory nieżyjących okien... Dobry Boże, oby zasnuła wszystko! I tak przecież nie widziałem horyzontu...

STOKROTKI I MLECZE

Budzę się powoli, z trudem. Moja świadomość nie chce wypełznąć z zacisznej kryjówki snu

– snu, który jeszcze nigdy nie przyniósł ze sobą koszmaru. Ów nadszedł później, o wiele później...

Odgłos babcinych kroków, których nie umiałbym pomylić z żadnym innym dźwiękiem. Zapach gotowanego mleka wypełnia całą izbę. Podchodzi do mnie, gdy ją wołam. Wiem, że niesie ze sobą czysty bawełniany gałganek nasączony ciepłym naparem z rumianku. Kładzie mi go na pozlepianych zaschlą ropą powiekach.

Rytuał każdego poranka. Gdyby nie ta wilgotna szmatka, nie mógłbym rozewrzeć oczu. Chore. Od kiedy? Od zawsze... od pozawczoraj, do dziś, do pojutra, do ostatniego dnia... Gdyby nie ta wilgotna szmatka, mógłbym je otworzyć rozrywając powieki. To boli.

Słońce wpada przez maleńkie okienko, którego parapet jest gęsto zastawiony doniczkami, różowych pelargonii. Tylko różowych. Żadnych innych kolorów. Nie wiem, dlaczego babcia upodobała sobie tę barwę. Prócz nich jeszcze okazały asparagus...

Gliniana polepa podłogi zamieciona do czysta. Tylko ściana za łóżkiem, choć nie tak dawno przecież obielona, łuszczy się, a nadjedzony mrozem i wilgocią minionej zimy tynk, osypuje się i kruszy po kawałku.

Na przeciwległej ścianie, na wbitym głęboko gwoździu, stara naftowa lampa. Szkło ma lekko odymione, mimo że przecież wyczyszczono je dzisiejszego ranka.

Siedzę – ubrany w jakąś koszulkę i krótkie granatowe spodenki – z szelkami krzyżującymi się na plecach – przy ciężkim dębowym stole, zajmującym prawie pół izby.

Łapczywie gryzę kromkę suchego chleba, popijam gorącym mlekiem. Czy można jeść coś innego na śniadanie? Nigdy o tym nie słyszałem...

Babcia zamknęła na kłódkę koślawe, pobielone wieloma warstwami, odpryskującego teraz wapna, drzwi wejściowe. Krzywa wyboista lessowa droga, pokryta grubymi pokładami kurzu, prowadzi do niezbyt odległej – raptem o kilkaset kroków – prawdziwej ulicy, z chodnikami i jezdnią wybrukowaną granitową kostką.

Chodnik wspina się pod dość stromą i wysoką górę. Po prawej stronie ulicy ciągnie się długi, bardzo długi mur, zbudowany z kamieni i cegieł, a przed nim – na trawniku – rząd strzelistych włoskich topól. Te topole i ten trawnik mają w sobie jakąś magnetyczną moc. Budzą mój zachwyty. Dlaczego? Nie wiedziałem tego ani wówczas, ani nie wiem dziś. Nie wiedziałem, gdy wspinały się strzelistością młodych koron pulsujących sokami, gęsto okrytych trójkątnymi, ciemnozielonymi,

sztynnymi liśćmi, nie wiem i dziś, gdy prawie wszystkie z nich nie żyją i tylko nieliczne staruszki coraz bardziej zbliżające się do swego kresu, przypominają tamte odległe dnie, kiedy zdawało mi się, że słońce będzie zawsze świecić, kwiaty pachnąć, a ptaki śpiewać. Nie rozumiałem, że na końcu każdej drogi stoi śmierć, i kiedy jeszcze nie popełniłem żadnego występku...

Jak kusi ten trawnik u stóp wyniosłych drzew... Chciałbym nań wbiec, nazrywać kwiatów, od których aż gęsto: jaskrawożółtych mleczy, kołyszących się na szczupłych, sztywnych łądogach, pozłocistych mniszków, liliowych dzwoneczków i różowobiałych stokrotek.

Ale babcia ciągnie mnie za rękę. Idziemy wytrwale, chociaż ona ze dwa razy zatrzymuje się, aby odpocząć, aby zaczerpnąć pełne płuca powietrza.

Wchodzimy w cienisty, zielonkawy półmrok ścielący się na chodniku, pod obwisłymi konarami kasztanowców i akacji.

Słodkawy zapach kremowobiałego kwiecia gęstymi i ciężkimi gronami zwieszającego się z kolczastych gałęzi. Akacje pachną tak mocno, że przyprawia to o zawrót głowy. Kocham akacje. Ilekroć czuję ich woń, tylekroć mojej dłoni wraca pamięć przyjaznego uścisku dużej, spracowanej ręki babci...

I tamtych ciepłych, rozpromienionych słońcem przedpołudni, w które razem, uparcie, pokonywa-
liśmy skłon Wzgórza Zawichojskiego...

Mijamy zakręt. Samochody z warkotem i dy-
mem pomykają jezdnią, ale one nie budzą we
mnie żadnych przyjaznych uczuć. Są mi obce.
Nie należą do mojego świata. Do dziś...

Z trotuaru skręcamy w wąską wybrukowaną,
ciągnącą się prosto dróżkę. Po obu jej bokach zie-
loność. Tylko głębia z trzech stron obramiona
szarawobiałymi murami budynków.

Upał ciężko dyszy w nieruchomym powietrzu
Od ziemi smuży się słodkocierpki zapach lata.
I życia. Babcia naciska klamkę masywnych, oku-
tych żelazną blachą i nabijanych mocnymi żela-
znymi ćwiekami, drzwi, poczerńiałych ze staro-
ści.

Chłód kościelnej nawy omywa nas ożywczym
strumieniem. Plamy światła kładą się na posadz-
ce, na pełnym cudownych rzeźb wielkim ołtarzu,
wprost płonącym od złota i srebra. Święty Michał
Archanioł wymierza cios leżącemu u jego stóp
Przeciwnikowi. Nie rozumiem tego do końca...

Plamy światła kładą się na budzącej mój po-
dziw, przepięknie rzeźbionej w figurki tych, któ-
rzy dostąpili Wiekuistej Światłości, ambonie,
opierającej się o pokrzywiony pień jabłoni wyra-

stający z boku świętego Benedykta pogrążonego w tajemniczym śnie.

Fascynuje mnie szmaragdowomorska zieleń ławek, balustrady oddzielającej prezbiterium od nawy... Zieleń rządząca wnętrzem tej świątyni...

Dźwięki organów odbijają się od sklepienia, spływają potokami wzdłuż ścian. Przenikają do wnętrza, wlewając się w najtajniejsze tajniki umysłu i serca... Już nie wiem kim jestem... Już nie wiem, gdzie jestem... Jedno tylko, jedyne uczucie wypełnia mnie całego, uczucie istnienia, jakiejś nieograniczonej pełni... Nie mam już rąk ni nóg, ni oczu. Tylko czysta jaźń... Istnieję... Istnieję... Istnieję... Organy milkną. Silny męski głos podnosi się i opada w tej tajemniczej, cudownej melodii łacińskich słów, której po latach i stuleciach zapomniaty już kościoły...

– *Te igitur clementissime Pater... Memento, Domine, famulorum famularumque tuarum... Hoc est enim Corpus meum... Hic est enim calix Sanguinis mei... Libera nos, quaesumus, Domine...*

– *Ciebie więc najmiłościwszy Ojcze... Pomnij Panie na sługi i służebnice Twoje... To jest bowiem Ciało moje... To jest bowiem kielich Krwi mojej... Wybaw nas, prosimy Cię, Panie...*

Po skraju pulpitu ławki wypolerowanej setkami i dziesiątkami setek wspierających się o niego rąk, wędruje drobna żółtawa mrówka. Pracowicie przebiera nóżkami. Czasem się zatrzymuje, czasem próbuje skrócić w bok, ale ostatecznie wraca na wytyczoną wcześniej (przez Kogo? Przez Co?) dróżkę.

Ogarnia nas cisza. Kapłan dawno już zniknął w ciemnym prostokącie drzwi wiodących do zakrystii. Opustoszały ławki. Tylko my dwoje tkwimy w chłodnej – rozświetlonej wpadającymi przez wysokie okna smugami słońca – nawie.

Babcia pracowicie przebiera palcami paciorki różańca. Bezgłośnie porusza wargami.

A potem znów wychodzimy na ulicę. Żar leje się z nieba błękitniejącego ponad naszymi głowami.

Niewielkie białe budki tkwiące nieruchomo na rogach ulic kuszą i mają obietnicą smacznych, orzeźwiających, zimnych tak, że aż zęby cierpną, lodów. Ale ja nie będę ich jadł... Babcia nie ma pieniędzy... Dziś dzień powszedni, a nie niedziela, kiedy to moja mama daje jej złotówkę na ofiarę w kościele. Czasem babcia udając przed samą sobą, że to nic zdrożnego, dzieli tę złotówkę na dwie pięćdziesięciogroszówki i za jedną z nich kupuje mi wymarzonego, najmniejszego z możliwych do kupienia, loda. Ale to się zdarza rzadko.

JAKUB I MAŁGORZATA

Za oknem gęstniał brudny, późnojesienny zmierzch. Deszcz bębnił w szyby, a wiatr skomlił wśród gałęzi wyniosłej topoli, rosnącej na wprost okna.

Małgosia wróciła z pracy głodna i zmęczona. Z ulgą zdjęła buty w przedpokoju i nasunęła stare, miękkie, rozdeptane kaptcie. Pomyślała, że oto nadchodzi kres kolejnego dnia. Dnia dokładnie takiego samego jak tyle innych dni, układających się w tygodnie, miesiące i lata.

Dzisiaj znów czuła boleśniej niż kiedy indziej siłę prądu upływającego czasu, który niósł ją dalej i dalej od zielonych brzegów młodości. Czy szczęśliwej? Dziś już tego nie wiedziała. Wiedziała za to tylko jedno, że niósł ją ku czemuś, czego podświadomie się lękała i dokąd chciałaby dotrzeć jak najpóźniej. Lecz czyż to od niej zależało?

Westchnęła głęboko i wszedłszy do łazienki odkręciła kran z ciepłą wodą. Myła dłonie i twarz dokładnie. Jakby chciała w ten sposób pozbyć się smutku, który przyłgął do niej. Kończyła się wycierać niezbyt już świeżym ręcznikiem, zastanawiając się jednocześnie co ugotować na obiad dla dzieci, które za godzinę, najwyżej półtorej, powinny wrócić ze szkoły, i dla męża, mającego się zjawić dopiero około jedenastej wieczorem, bo pracował tego dnia na drugą zmianę.

Gdy odwiesiła ręcznik na haczyk wbity w ścianę obok umywalki, usłyszała długi, ostry dzwonek. Niechętnie podeszła do drzwi i odchyliwszy klapkę zerknęła w otwór wizjera. Dostrzegła w bardzo gęstym już mroku klatki schodowej niewyraźny zarys ludzkiej sylwetki.

– Kto tam? Zapytała.

Ale odpowiedzią był następny dzwonek. Choć tym razem krótki, to również ostro, prawie boleśnie wibrujący w uszach.

– Kto tam? – powtórzyła pytanie.

Po upływie wielu chwil doleciał do niej przytłumiony głos mężczyzny:

– Otwórz... Małgosiu.

Na dźwięk owych słów jakoś odruchowo przekręciła gałkę zamka, a potem nacisnęła klamkę. Drzwi uchyliły się z lekkim skrzypieniem nienawolionych zawiasów.

Prostokątna plama światła rozpostarła się na posadzce korytarza, a w samym jej środku stał mężczyzna.

W pierwszej chwili go nie poznała. Być może dlatego, że nie widziała go od piętnastu, albo i siedemnastu lat? A może powód był inny? Stał przed nią ubrany w starą, mocno podniszczoną, sukienną kurtkę, z gołą głową, o mokrych włosach pozlepianych w kosmyki, z których strużki wody spływały mu po policzkach. A może po prostu dlatego, że właśnie jego najmniej ze wszystkich swoich znajomych spodziewała się tu i teraz?

Stał tak przed progiem z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków, mokry i chyba zmęczony.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – zapytał, gdy chwile mijały, a oni tak tkwili naprzeciw siebie milczący.

– Ależ tak! Oczywiście! Wejść proszę!

Była lekko zdenerwowana i mówiła nieco zmienionym głosem. Dlaczego? Cóż, sama tego nie wiedziała i nawet w duchu była zła na siebie, że zachowuje się jak smarkula.

– Wejść Jakubie – ponowiła zaproszenie, jednocześnie odsuwając się z przejścia i robiąc mężczyźnie miejsce.

Skoro znalazł się w przedpokoju zatrzasnęła drzwi i instynktownie przekręciła gałkę zamka.

Stał na środku przedpokoju, jakby nie mogąc się zdecydować, co ma dalej zrobić – pozostać w tym ciepłym, widnym, przytulnym mieszkaniu, czy może raczej przeprosić gospodynię, pożegnać się i czym prędzej wyjść w zmierzch, który już prawie przybrał barwę nocy.

– Boże, jakiś ty mokry!

Małgorzata podeszła do przybyłego i pomogła mu się rozebrać. Gdy schylił się by rozsznurować buty, powstrzymała go słowami:

– Daj spokój! Nie rób tego.

Zaprowadziła go do pokoju, w którym zwykle przyjmowała gości. Jakub usiadł w miękkim, opasłym fotelu i z ciekawością rozglądał się wokół. Widać było dostatek, lecz przecież nie bogactwo.

W kuchni jął gwizdać czajnik. Długo, wysoko, przenikliwie.

– Przepraszam, pójde zrobić herbatę. A może wolisz kawę? – powiedziała kobieta.

– Niech będzie herbata.

Potem, gdy w milczeniu wpatrywali się w szklanki napełnione bursztynowozłocistym płynem, a ciszę mąciło tylko prędkie uderzanie grubych kropel o blaszany parapet, Małgorzata skryła twarz w dłoniach i zaszlochała.

Płacz wstrząsał całym jej ciałem, a łzy przesączały się między palcami.

Jakub podniósł się ze swojego miejsca i zbliżywszy do płaczącej objął ją delikatnie i przytulił do siebie.

– No, dobrze już, dobrze – szeptał, jednocześnie całując jej włosy.

– Nie! Nie jest dobrze! Jest źle i ty wiesz o tym doskonale, tak samo, jak ja.

– Ale było dobrze...

– Przestań! Nie dręcz mnie! Nie kłam! Mogło być dobrze. Tylko mogło być! Lecz przecież nie było...

– Tak, wiem. To przeze mnie.

Przestała płakać, otarła zaczerwienione i zapuchnięte powieki zmiętą połą bluzki, która miała na sobie i potem bacznie spojrzała mu w oczy:

– Dlaczego to mówisz?

Wzruszył ramionami:

– Bo to prawda.

Podniosła się. Objęła za szyję, jednocześnie z całej mocy przywierając do jego piersi. Znów zaczęła szlochać.

– Och, Jakubie! Kuba!

– Dobrze już, dobrze... – uspokajał ją

A potem ich wargi odszukały się jakoś instynktownie.

Wiatr wył za oknami, miotając falami grube krople dżdżu, które z łoskotem odbijały się od syb i blaszanych parapetów. Spoza ściany dola-

tywały dźwięki pianina, z którego jakieś dziecinne ręce, niewprawne i nienawykłe do klawiszy, wydobywały prostą melodię.

Odsunęła go od siebie:

– Przestań. To nie ma sensu. Ty masz swoje życie, ja mam swoje. Za kilkanaście minut ze szkoły wrócą moje dzieci. Ty odejdziesz tam, skąd przybyłeś...

– Nie! Nie! – przerwał jej gwałtownie. – Na-
zbyt wiele kosztowało mnie to, by móc przyjść do
ciebie, zbyt długo na to czekałem, aby teraz, gdy
marzenia się ziściły, tak po prostu wyjść stąd
w mrok i deszcz. Na zawsze...

– Zatem o czym myślisz?

– Jeszcze nie wiem... A raczej wiem tylko jed-
no: wciąż należymy do siebie... Tak jak wtedy...
Pamiętasz?

Znów poczuła bolesny skurcz gardła i łzy
zbierające się pod powiekami.

– Pamiętam. Tak, pamiętam. Lecz cóż z tego?
Minęło tyle lat... Czy sądzisz, że teraz, po tych
wszystkich latach, rzucę dom, dzieci i pójdę za
tobą? Cóż więcej mi możesz dać prócz tego, co
już mam?

– Siebie – powiedział ledwie dosłyszalnym
szeptem.

– Siebie? Siebie mogłeś mi dać wtedy, przed
laty...

– Wiesz dobrze, że nie mogłem.

– Ach, tak, nie mogłeś! Nie mogłeś, bo miałeś żonę!... I jeszcze dzieci... Dokładnie tak samo, jak ja dzisiaj... A teraz przychodzisz, nie wiadomo skąd, i domagasz się bym zrobiła to, przed czym się ty wzbraniałeś?! Bym rzuciła rodzinę i poszła za tobą? Dokąd? Co się zmieniło? Już nie masz skrupułów? Czyżbyś owdowiał?

– I tak, i nie. Powiedzmy, że jestem wolny.

– Nie powiesz nic więcej?

– A po cóż? Posłuchaj Małgosiu. Nie chcę zabrać cię dzieciom. Nie chcę niszczyć twojej rodziny. Chcę byśmy – choćby jak najkrócej – należeli do siebie. Całkowicie, do końca. Nie przerywaj mi – uniósł do góry dłoń. – Nie przerywaj, daj dopowiedzieć resztę.

Umilkł na chwilę, jakby zbierał myśli, a potem znów zaczął mówić półgłosem:

– Wiem doskonale, że ani teraz, ani nigdy nie kochałaś swojego męża. Wiem dobrze – i nie zaprzeczaj – że przez wszystkie te lata myślałaś tylko o mnie, że mnie pragnęłaś, i że mnie wzywałaś. Czemu więc teraz, gdy ziściły się twoje marzenia żadasz bym odszedł?

Patrzyła na niego jakiś czas, a potem ukryła twarz w dłoniach i poczęła szlochać.

– Boże, Boże, jakież to wszystko trudne...

– Wzywałaś mnie w myślach, śniłaś o mnie... Przez wszystkie te lata śniłaś o mnie... Nie możesz mnie teraz, ot tak, po prostu przepędzić.

– Kuba... Kuba... – znów przyłgnęła do jego piersi, ustami szukając ust. Potem odsunęła się gwałtownie. – Dobrze. Wiem, że masz rację. Tak, chciałam cię i nadal chcę. Ale teraz odejdz. Dzieci mogą przyjść lada chwila.

Podniósł się powoli i skierował w stronę drzwi:

– Czy mam wrócić?

– Tak!

* * *

Popołudnie tamtego wrześnieowego dnia było upalne. Małgorzata szła na spotkanie z młodym mężczyzną nie dlatego, że się jej podobał – trudno byłoby nazwać go urodziwym – lecz dlatego, iż ją zaintrygował.

Dwa dni wcześniej prosząc nieznanego o wyświadczenie drobnej przysługi, powiedziała mu, że w zamian zaprosi go na kawę. Ot, takie gadanie. Ani nie sądziła, że obcy człowiek, którego raptem pierwszy raz widziała na oczy (i on ją zresztą też) zechce jej pomóc, ani też obietnicę zaprosin na kawę nie traktowała poważnie.

Tymczasem jednak uczynił, o co go prosiła i nawet zatelefonował, by jej o tym powiedzieć.

Czuła się dość niezręcznie. Ochoty na to spotkanie, na kawę z nieznanym (choć zasłużył na nią) nie miała zupełnie. Z drugiej jednak strony dręczyła ją świadomość, iż winna dotrzymać słowa, a mężczyzna zaintrygował ją też dość mocno.

Siedział na jednej z ławek niewielkiego skwerku, u podnóża wyniosłej, rozłożystej lipy, której drobne, sercowate listki, choć jeszcze żywe, przecież nie wyglądały tak świeżo, jak na wiosnę. Mimo upału czuć było w powietrzu nadchodzącą jesień.

Podeszła do niego. Podniósł się na jej widok, a gdy podała mu dłoń, ucałował ją ze staroświecką galanterią, niepasująca do miejsca i okoliczności.

– Mówmy sobie po imieniu, tak będzie prościej – zaproponował.

– Małgośka – odrzekła na to.

– Kuba – odezwał się on.

Zapadło niezręczne milczenie. Ani jedno, ani drugie z nich nie wiedziało, o czym mówić. Małgorzata zastanawiała się, czy nie usiąść na ławce, gdy znów odezwał się Jakub:

– A zatem?

– Cóż, zatem?

– Zatem muszę się upomnieć o przyobiecana kawę.

Roześmiała się:

– No dobrze. Ale dokąd pójdziemy?

Jakub milczał przez chwilę, a potem nieśmiało powiedział:

– Jeśli się zgodzisz, chciałbym zaprosić cię do siebie. Mam kawę i ciasto...

– Ach, to tak! – zawołała udając oburzenie.

– Zastawiasz na mnie pułapkę!

Uśmiechnął się nieśmiało i zarumienił tak mocno, aż się go jej zrobiło żal.

– Nie, nie! Niczego złego nie miałem na myśli... Broń Boże...

Wiedziała, że powiedział to szczerze.

– A zatem... dobrze. Niech będzie. Tylko pamiętaj, że masz być grzeczny! – uśmiechnęła się do mężczyzny.

– Oczywiście. Możesz być o to spokojna.

– W którą stronę idziemy? – zapytała.

Wyciągnął rękę pokazując kierunek. I wówczas w promieniach słońca na jego palcu błysnęła obrączka. Małgorzata zatrzymała się w pół kroku.

– Jesteś żonaty? – zapytała, a w jej głosie zabrzmiała oskarżycielska nutka.

– Tak, jestem.

– I pewnie masz też dzieci?

– I mam też dzieci.

Stali naprzeciw siebie, spoglądając sobie w oczy. Małgorzata wahała się. Nie wiedziała co począć. Rozum podpowiadał, by pożegnała się z mężczyzną czym prędzej i poszła swoją drogą, jego pozostawiając na skwerku. Ale z drugiej strony coś kusiło ją – kusiło coraz mocniej – by wbrew zdrowemu rozsądkowi przyjąć jego zaproszenie.

– A gdzież to żona, że bierzesz mnie do domu?
– zapytała jakimś takim nie swoim głosem. W gardle poczuła suchość i lekki skurcz chwytający ją za krtani.

– Wyjechała na kilka dni... z dziećmi...

Nie pytała już o nic więcej. Wzięła jego dłoń w swoje dłonie, a potem puściwszy ją, rzekła cicho:

– Więc chodźmy...

A gdy już znaleźli się na miejscu, gdy skosztowali placca z jabłkami i wypili kawę, nie wiadomo jak to się stało, że usiedli obok siebie. Blisko, bardzo blisko. Tak blisko, że bliżej już nie było można.

Nie narzucał się jej. Dotrzymywał słowa, chociaż wyczuwała, że wolałby, iżby było inaczej. Milczeli trzymając się za ręce. Nie patrzyli na siebie.

Powoli za szeroko otwartym oknem robiło się szaro. Wielka pomarańczowozłocista słoneczna

kula skryła się poza widnokregiem, a na niebie błyszczały tylko fioletem, czerwienią i różem długie, podświetlane od spodu, pasma obłoków.

– Muszę już wracać – powiedziała Małgorzata.

– Czy na pewno? – zapytał

– Muszę już wracać – powtórzyła.

I wtedy pocałowali się nieśmiało i ostrożnie. Po raz pierwszy i po raz ostatni tego dnia.

Gdy zamykał za nią drzwi prowadzące z mieszkania na klatkę schodową, odwróciła się, by raz jeszcze popatrzeć mu w oczy. Uśmiechnęli się do siebie, wiedząc, iż na pewno spotkają się jeszcze.

* * *

W mroku nocy roziskrzonej miriadami gwiazd, wysrebrzonej księżycowym poblaskiem, pachnącej oroszonymi liśćmi klonu, którego gałęzie zaglądały do otwartego okna pokoju, Małgorzata siedziała podparwszy głowę na pięści, rozpałmiętając to, co przydarzyło się jej za dnia.

Najpierw odczuwała tylko oszołomienie, na którego dnie było sporo przyjemności. Nie przypuszczała, iż przygodna znajomość–nie znajomość, może kiedyś przerodzić się w coś więcej. Tymczasem pojęła, że jest na najlepszej drodze ku temu.

Im więcej upływało chwil, tym większą tęsknotę odczuwała. Przymknęła oczy, przywołując pod powieki obraz Jakuba. Wiedziała już, że to, co skielkowało w jej wnętrzu ostatniego popołudnia to przecież... miłość.

Lecz zaraz potem jakby otrzeźwiała.

Z jednej strony nie mogła się wyzbyć obrazu Jakuba, z drugiej wiedziała, iż to uczucie i ta znajomość nie mają przyszłości. Nie była bezwzględna zdobywczynią, nie potrafiłaby chyba zabrać ojca dzieciom...

Zasnęła, gdy na wschodzie jął szarzyć widnokrąg.

* * *

– Małgośka!

Obejrzała się. Jakub biegł za nią prawie pustym chodnikiem. Nie zatrzymała się, a wręcz przeciwnie – przyspieszyła kroku.

– Małgośka!

Wołał znowu, ale była głucha na jego wołanie. Dopędził ją lekko zdyszany i mocno ujął pod ramię. Wyszarpnęła mu się gwałtownie.

– Dlaczego uciekasz? – pytał. – Co się stało

– Nic. Po prostu nie chce się z tobą spotykać.

– Ale dlaczego?! Dlaczego?!

Jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku.

SPIS TREŚCI

DROGA NA PRZEDMIEŚCIU	5
SZAROŚĆ I MGŁA	5
STOKROTKI I MLECZE	6
WOŃ MACIERZANKI	13
DOKOŁA MURY	15
ZMARTWYCHWSTANIE	19
NOWY DZIEŃ...	22
JAKUB I MAŁGORZATA	23
STRZYGA	55
ZAGADKA JESIENNEJ NOCY	73
SCHODZĄC W DOLINĘ	81